

Z NAD BUGA.

Szkic etnograficzny

przez **Z. St.**

Słynne z urodzajności Hrubieszowskie — z piękną sandomierską ziemią równane — z powodu oddalenia od kolei i bardzo złych dróg, należy do tych zapadłych zakątków, które podług przysłowia: „deskami od świata zabite“. Nie spotkasz tu nigdy żadnego turysty, nie natrafisz na żadnego ciekawskiego, uczonego, lub badacza, któryby się zapędził aż poza nasze błotniste gościńce, nie bacząc na trudy i niebezpieczeństwa nawet — jakie go na tych drogach spotkać mogą. — Ztąd też ogół bardzo mało zna okolice tutejsze i lud miejscowy, — gdy tymczasem i jedno i drugie jest materiałem bardzo w wielu razach ciekawym. Najpiękniejsze widoki mamy tuż pod samym Bugiem, o liniach spokojnych, a horyzontach w miarę szerokich, by je oko dowolnie objąć mogło. Niwy pyszne, czarne, z lekka pogarbione małemi falistościami, brzegiem zwykle obramowane szerokim pasem łąk, które już to w łagodnym spadku — już to czasami w gwałtownym obrywie zbiegają aż ku samej rzece — leniwo toczące swe szare fale. Tu i ówdzie zdala widnieje jakiś szmatek lasu, a co staj kilka — wioska, prawdziwie wioska polska, stara, zasiedziała tu od wieków, zbita w gęsty szereg, wychyla się z pośród wierzb rosochatych i grusz dzikich bujnie rozrośniętych.

Do najbardziej malowniczych wiosek w tej stronie i najciekawszych ze względu etnograficznego należy bezsprzecznie Gródek nadbużny.

Gródek według tradycyi miał być kiedyś grodem — a lud do dziś dnia opowiada, że na płaszczyźnie „Bocianowej góry“ wznosiło się przed laty miasto Wołyń, od którego to pozostała nazwa Wołynia, prowincyi — ciągnącej się właśnie po drugiej stronie Buga. Miały tu być wielkie skarby i bogactwa nieprzeliczone, ale wszystko to zginęło w czasie wojny — w części zaś zakopane jest w ziemi — nikt tylko nie wie gdzie. Jadąc od strony Hrubieszowa, do którego niema więcej niż pół mili, wioski nie widać wcale, gdyż kryje się za dość sporem wzgórzem i rozsiana na jego stoku, podsuwa się aż pod sam brzeg rzeki, zostawiając wolnej przestrzeni ledwie kilkaset kroków. Bok wzgórza stanowiący właśnie właściwą wieś, na wierzchołku — „na Hajkowi“, jak mówią zwykle, — mieści w zwartym szeregu wszystkie stodoły miejscowych gospodarzy — a stodoły proste,

przeważnie w czworobok zbudowane — niewielkie, chruściane, obłożone pęczkami trzciny, te zaś przymocowane są do ścian listwami drewnianymi — u góry i u dołu. Koło chat mają jedynie chlewy na krowy i trzodę — również chruściane, ziemią od dołu obsypane, a zimą od mrozów mierzwą lub słomą zabezpieczone. W całej wsi nie ma ani jednego budynku gospodarskiego o ścianach z tarcic — tylko wszędzie chrust i chrust. Na lewo od stodoł — nad stromym urwiskiem cerkiewka i plebania, wśród kępy drzew — ciekawie zagląających w ciemny, kilkosążnisty wąwóz, poza którym mamy ów historyczny „Bocian“, wznoszący się wyniosłe nad całą równiną i niemal prostopadle jedną białą ścianą spadający wprost do rzeki. Wracając się jeszcze ku wzgórkowi środkowemu, na którego stoku stoi wieś, drugi stok jego od strony Hrubieszowa — przedstawia bardzo dokładnie najwyraźniejszą fosę forteczną — na niektórych kawałkach nic a nic jeszcze nieuszkodzoną.

Na prawo od wioski leży dwór — obecnie nawet spalony i niezamieszkały — poczem całe płaskowzgórze nagle się urywa, znów wąwóz i nagle wyrasta przed nami „horodysko“, z jednej strony oblane wodą Huczwy wpadającej nieopodal do Buga, z drugiej odcięte powyższym wąwozem, który jak się zdaje musiał być umyślnie zrobionym przekopem, a z trzeciej obecnie łączy się dosyć przykrą pochyłością z drogą idącą przez wieś — dawniej zas w tym miejscu musiał być most zwodzony, lub na wysokiem podmurowaniu brama wjazdowa — dająca jedyny dostęp do zamczyska na szczycie. Stanąwszy na wierzchołku „horodyska“, mamy przed sobą dosyć dużą, kwadratową płaszczyznę w okół obwałowaną i z niej widok daleki, prześliczny na łąki, pola, samotne kurhany, wioski okoliczne i migotliwą wstęgę Buga...

Do niedawnych lat wejście na horodysko było prawie nie-
możliwe, tymi czasy jednak znalazł się jakiś przedsiębiorczy wy-
robnik, który wydzierżawił górę od właściciela, ścieżkę bokiem
rozkopał, a powierzchnię między wałami uprawił i dziś na miej-
scu, gdzie ongi wznosił się jakiś obronny zameczek, zkad echa
sygnałów i ognie wici szczyły grozę i alarm wśród przera-
żonych mieszkańców, zkad kule męnych obrońców może nieraz
odpierały zuchwałych Turków i Tatarów — dziś rosną bujne
kartofle, a wspaniałe proso zwabia stada szarych wróbl — jedy-
nych teraz niszczycieli, którym się walkę wypowiada w postaci
słomianych strachów...

U podnóża horodyska właściciel zbudował przed dzieśmiu laty młyn amerykański na Huczwie i oddał go w dzierżawę żydowi; ztąd też żywioł semicki rozpanoszył się ogromnie w Gródku i oddziaływa arcyniekorzystnie na chłopów, którzy nie dosyć, że sami z siebie mają sporo wad, ale jeszcze w bezustannych stosunkach z żydami, douczają się wszystkiego złego.

Z wiosną, gdy Bug wyleje, część wioski woda zatapia, a mieszkańcy wówczas chronią się do stodół wyżej położonych i nieraz przez kilka tygodni z dziećmi i dobytkiem koczować tak muszą, przymierając głodu i chłodu, nabawiając się febry i tyfusu. — Niechno jednak woda spadnie, wnet wszystko wraca do porządku, stawia się porozwalane kominy, lepi i bieli ściany, naprawia popsute płoty i chlewki i chaty znów czyste i wesołe czekają rychło, aż je zieleń drzew ustroi. — Zatomowane życie z podwójną siłą stara się powetować czas stracony — każdy uwija się żwawiej; mężczyźni na gwałt kończą roboty zimowe, kobiety bielą przędę. Długie pasy szarego płótna porozwieszane na płotach wiatr wydyma, porusza, niby na chlubę i pokaz ludziom. — A płótno, to bogactwo i chwała gospodyń tutejszych i na wiano daje się córkom i bielizny moc się szyje co roku — i jeszcze „hroszy“ za nie będzie „kupa“.

Cała zima głównie schodzi kobietom na przedzeniu — jestto zajęcie, wobec którego wszystko staje na drugim planie. Raniutko, o trzeciej po północy wstają na t. zw. „doświtki“ i gdy gospodyni gotuje jedzenie, córki, synowe, wyrobnice przędą aż do świtania, kiedy krowom jeść dać trzeba, wody przynieść i samemu się pożywić. W dzień rozchodzą się prządki po sąsiadach, a na „weczernycie“ zbierają się znów w gromadki do jednej chałupy i przy śpiewkach smętnych, przy opowiadaniach i bajkach tajemniczych, przy „rozhovorach“ z codziennego życia, szara nić tak szybko, tak żwawo się snuje, że nie spojrzysz, a już i wrzecziono pełniutkie.

Pod koniec zimy oddają przedziwo, zmotane w różnej wielkości motki, stosownie do swego przeznaczenia do tkacza, i podtenczas taki bywa nawał tej roboty, że trzech, czterech, a nieraz i więcej tkaczy wioskowych nie są w stanie nadażyć zamówieniom. Jestto dla nich czas żniwa, gdyż oprócz zapłaty pieniędzmi — po dwa grosze od pasma, biorą jeszcze na „szlichtę“ po bochenku chleba, albo coś z legomin, co zależy od umowy. Tkaczami bywają zwykle biedniejsi gospodarze — wyrobnicy, którzy w lecie zajmują się innemi robotami, a tkactwem dodatkowo w zimie. Tkaczów z profesyi nie ma wcale.

Skoro tylko ziemia rozmarznie i słońeczko cokolwiek przygrzeje, gospodarze bez zwłoki wychodzą w pole z pługami do zasiewów jarych, a kobiety zabierają się do ogrodów warzywnych. Ogrody te zajmujące od pół do półtora morga przestrzeni, bezpośrednio stykają się zawsze z chatą, są wszędzie dokładnie chruścianymi płotami ogrodzone i utrzymywane z najwyższą starannością i zamiłowaniem. Grzędy — proste jak strzelił, gładziutko po bokach oklepiane, sprawiają wrażenie zagonów inspekcyjnych. — Nie dojrzysz tu nigdzie najmniejszego chruścika, ni zioła dzikiego, wszystko posiane, opielone, obsypane we właściwym czasie, daje też rezultaty świetne, gdyż niejedna rodzina żywi się tem przez zimę całą, co zbierze z jednego ogrodu. Z warzyw sadzą głównie cebulę i kapustę, dalej buraki ćwikłowe, fasolę, ogórki, gnieniegdzie bób, dynie i marchew, a przeważnie najlepsze kawałki zasiewają lnem i konopiami.

Wyrobnicy, którzy albo mieszkają komornem, albo mają chatę bez gruntu, biorą od bogatych gospodarzy kawałki ogrodów na odrobek. I tak: tu u tego zasieje grządkę prosa i za to tyle a tyle dni odrobi w żniwa, tam zasadzi ćwiartkę kartofli i wypłaca się pomocą w czasie sianokosów, ówdzie posieje cokolwiek konopi i za te aż w zimie gospodyni odprzędzie, czasem cały ogród dostaje pod zasiew jednorazowy to płaci zań gotówką np.: pięć rubli za trzy czwarte morga. — Jestto wysoka zapłata, zważywszy, że ogród stanowi zaledwie życie i chleb, a tu trzeba jeszcze i odzieży i krowinę utrzymać i za komorne zapłacić — więc też ci z wyrobników, którzy nie umieją żadnego rzemiosła, lub obarczeni są liczną rodziną, żyją bardzo biednie i rzadko kiedy dochodzą do własnej chaty, lub do kawałka gruntu.

Gospodarstwa rolne prowadzą bez wyjątku trzy-polowe: w jednej ręce ugór, w drugiej ozimina, w trzeciej jarzyna — i zasiewy naturalnie całą wieś prowadzi równocześnie w jednej i tej samej ręce, gdyż pastwisko utrzymują wspólne. W ugorach od kilku lat niektórzy starają się sadzić jako przedplon kartofle — sieją wykę, oraz gdzieniegdzie koniczynę czerwoną, ale właśnie ze względu wspólnego pastwiska mało jest amatorów tej innowacji, gdyż pasąc kilkaset sztuk bydła i owiec w jednej gromadzie, niepodobna ustrzedz, aby takowe nie zrobiło szkody na pojedynczym, wązkim, a długim kawałku. Zwykle też siewają w ugorach ci, którzy mają pole skrajne, gdzieś ostatnie od cudzej granicy, czasem między dwoma drogami -- wogóle jako tako zabezpieczone od szkody.

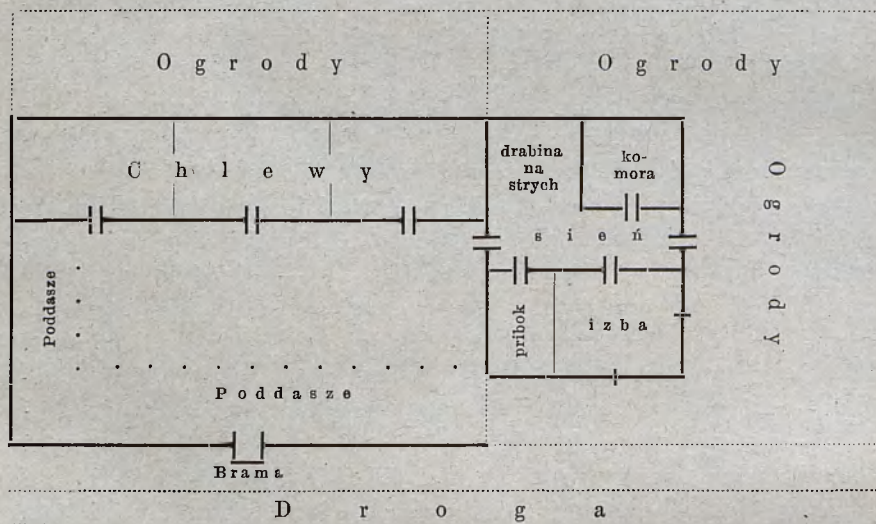
Grunt całkowity na jedną osadę stanowiły pierwiastkowo 18 morgów — obecnie jednak zmienił się dawny stan rzeczy — jedni potracili, drudzy pokupowali, inni porozdawali dzieciom i własność gospodarzy waha się od trzech do trzydziestu morgów, nie licząc w to ogrodów przy chałupie.

Z narzędzi używane plugi, często nawet wrzesińskie, brony i radła, u dwóch bogatszych maszyna ręczna do młócenia zboża, zresztą cepy — oto i na tem koniec.

Zewnętrzna fizyognomia wsi — po bliższem zwłaszcza przyjrzeniu się, jest nadzwyczaj jednolita, gdyż chaty we wszystkich szczegółach, prócz rozmiarów, są podobne do siebie jak dwie krople wody. Stare chatynki, w ziemię do połowy zapadłe, z dachami zielonymi od mchu, o małych jedno-szybkowych okienkach, z sionką i izdebką mieszkalną, wielkości sześciu kroków wzdłuż, a pięciu w szerz — takie staruszki już w Gródku prawie zaginęły — ale i domkami z ganeczkiem, z podsieniem, z okiennicami, z małym ogródeczkiem na froncie — Gródek także się pochwali. Chaty przeważnie stoją szczytem do ulicy i tworzą figurę, którą poniżej zamieszczam dla dokładniejszego objaśnienia. Wejście główne jest przez okólnik zabudowany na wysokość chałupy — z bramą od drogi i dachem wspartym od środka na słupach — co stanowi poddasze, służące na skład drzewa, narzędzi gospodarskich, wozów, sań i t. p. Jedna strona tego poddasza jest zabudowana zupełnie, naturalnie ścianą chruścianą i tam mieszczą się chlewy dla bydła i trzody. Dom dzieli się na dwie połowy z sienią przechodnią na przestrzał. Z jednego boku jest komora, czyli poprostu spiżarnia, schowanie na mąkę, krupy, słoninę, pszenicę i t. d., z drugiego izba mieszkalna — i pribok, stancya nie ogrzewana, ciemna, zapełniona skrzyniami, wieszadłami pełnemi kożuchów, sukman, kaftanów — i jeżeli w chacie są nowożeńcy, to nawet zimą służy im za miejsce noclegu, dopóki dziecka nie mają. Później kobieta śpi w izbie z rodzicami, a mąż jej w stajni, albo w stodole. Dzieje się to tylko wówczas, gdy nowożeńcy mieszkają przy rodzicach z rodzeństwem; jeśli zaś odrazu idą na swoje gospodarstwo, to zamieszkują izbę główną, chociaż do całego gospodarstwa wyjątkowo tylko niektórzy dochodzą — bodaj jedynie z tego względu, że para złożona z 18 letniego męża i 16 letniej żony nie umiałaby się rządzić, jak należy.

W chatach czysto i porządnie. Podłóg niema nigdzie, tylko tok równo ubity, zamieciony zawsze starannie, lekko skropiony wodą, aby i kurzu nie było i zbytniej wilgoci również. Kominy

przed piecem chlebowym pod dużym okapem — po dawnemu służą do gotowania, gdyż blach angielskich zupełnie nie znają i ani jednej takiej niema w całej wsi. Kominy codzień po ugotowaniu jedzenia rano, w miejscach okopconych zabielają — potrawy przeznaczone na obiad chowają do pieca chlebowego i zatykają drewnianą zatułą podobnie ubieloną — co sprawia wrażenie nader korzystne i schludne. Gotują tylko dwa razy dziennie, rano i wieczór.



Potrawy u tutejszego ludu są smaczne, ale nie wykwentne i gustem miejskim bynajmniej nie zarażone. Barszcz, kartofle, kluski, różne odmiany krupników, tak zwane „juszki“, zupa z suszonych ułgątek czyli „hamuła“, kasza jęczmienna, „dębowa“, kasza gryczana, „brzozowa“, jagłana i chleb razowy zazwyczaj doskonały, oto codzienne jedzenie u Rusina. Największym przysmakiem są pierogi pieczone — z kaszą jagłaną lub z serem i kaszą gryczaną, a wreszcie z serem, z kartoflami — po upieczeniu na gorąco obsmarowane słoniną. Piecze się tych pierogów w niedzielę — dajmy na to, na sześć osób — półtorej kopy, objętości półkwartowej — sztuka. Po za pierogami niema już nic lepszego, chyba mięso wieprzowe i kiełbasa, które to jednak specyały jadają się nie przy byle jakiej okazji — ale jedynie na święta, na weselu, na chrzcinach i t. p. wielkich uroczystościach. Z nabiału: mleko kwaśne do kartofli, jedzą najchętniej i w dużej ilości, słodkiem zabielają krupniki i kluski — ser jako wielki przysmak chowają na swój użytek, a masło zwykle sprzedają.

Wogóle mleko jest jednym z najważniejszych i najużyteczniejszych artykułów spożywczych u Rusina i aby takowe posiadać — każdy z nich gotów wiele poświęcić. Co prawda, że dobre pastwiska i dostateczna ilość zimowej paszy dla bydła opłaca wcale nieźle koszt utrzymania takowego, podczas gdy tania trzoda chlewna niezbyt chętnych miewa nabywców — i dlatego chodowla jej na bardzo niskim stoi stopniu. W Hrubieszowie n. p. masło w zimie bywa i po 40 do 45 kopiejek funt — a ładnie utuczonego wieprza dostaniesz i za 37 do 45 rs.; chłop więc woli trzymać więcej krów i mieć z nich ciągły dochód, aniżeli wycze kiwać chwili lepszego pokupu na świnię. Nabiał najdroższy bywa w ostatki, gdyż ostatni tydzień zapust — zwany „masnycią“, lud wiejski je tylko z samem mlekiem i wtedy chociaż najbiedniejszy, musi mieć i ser i masło i „mołoko“, więc też pokup na te produkta bywa taki, że ceny podnoszą się do niepraktykowanej wysokości.

Posty zachowują z całą ścisłością i jest to u nich jedyny głębszy objaw gorliwości religijnej, po za tem bowiem nabożni nie są wcale, i nierzadko między nimi spotkać można zupełnych, skończonych niedowiarków szczególnie w młodszej generacji — czego najlepszym dowodem jest szeroko rozpowszechnione pijactwo, koniokractwo, brak szacunku dla rodziców i starszych, zwady i kłótnie między rodziną, pieniactwo i różnego rodzaju podejścia w stosunkach sąsiedzkich, chciwość, wobec której o dotrzymaniu jakiegokolwiek umowy — czy danego słowa — nie mają nawet pojęcia, nieufność, chytrość, zuchwałstwo względem dworów — jednym słowem zupełny brak zasad moralnych. — Mówię tu głównie o Gródku, gdyż choć całe Hrubieszowskie dałoby się podciągnąć pod powyższe scharakteryzowanie, to jednakże Gródek pod wielu względami prym trzyma, żydzi bowiem miejscowi stanowią potężny czynnik rozkładowy — a bliskość Hrubieszowa, jak zazwyczaj bliskość miasta, podnosi ferment złych pierwiastków. W mieście chłop od pokątnych doradców uczy się różnych wykrętów na obejście prawa, od żydów paserstwa, urządzania spółek złodziejskich, — baba zaś wynosi z miasta złe życie — zaturę wstydu i wszelkiej obyczajowości. Dziewka wiejska, idąca na służbę do miasta, z góry zostaje uznana za „ladaco“ i z taką żaden porządny chłop się nie ożeni — a do wsi swojej pewnie się już ona nigdy na stałe nie powróci, chyba na starość, jako żebraczka; — nietylko bowiem uważają taką „wiejską“ za istotę upadłą, zepsutą, ale jeszcze za próżniaka, który nic zrobić nie potrafi i do niczego się nie przyda.

Z ogólnych wad wspólnych mężczyznom i kobietom, najwięcej rozpowszechnione jest pijaństwo. Nie ma tu w całej wiosce literalnie a ni jednej duszy, któraby wódki zupełnie nie piła. Nawet dzieci malutkie przy piersi, matki same przyuczają do „horyłki“ i dzieciak krzywi się, ale pije, później też wyrostki piętnastoletnie zalewają się już na dobre, a starsi przez gorzałkę tracą całe mienie, zostają bez dachu i kęsa chleba, biorą się następnie do kradzieży i w ten sposób synowie zamożnych gospodarzy kończą w kryminale. Czasem — siaki taki odrzeknie się kieliszka, ale po upływie kilku lat wraca z tem większą zacieklnością do dawnego nałogu i nie powstrzymają go na tej zgubnej drodze najdotkliwsze pociski losu. Niektórzy znów, ci, którzy z niezwykłą energią, z niezłomną wytrwałością i wielką pracą dochodzą do majątku, tych ogarnia istotny szal nabywania ziemi, poczęstunkami w karczmie powoli, powoli wyłudniają grunta od nałogowych pijaków i przy tej sposobności sami przyuczają się do wódki, topiąc w niej rozum zupełnie lub zatracając pierwiastkowe przymioty: siłę woli, rozsądek i pilność. — Gospodarzy uczciwych, słownych, szanujących samych siebie i wzajem budzących szacunek, jest bardzo niewiele w Gródku i z rokiem każdym ubywa ich jeszcze — niestety! Kobiet, skończonych pijaczek jest niewiele. Na weselu, na chrzcinach, przy jakiej zdarzonej okazji, chętnie sobie podpiją, na robocie we dworze często gorąco upominają się o „trinkal“, jednakże nigdy nie rozpijają się do tego stopnia, co mężczyźni. Wogóle kobiety gródeckie stanowczo więcej mają przymiotów, niż ich mężowie i bracia i gdyby nie upadek obyczajności, który jak prawdziwa zgnilizna ze zdumiewającą szybkością szerzyć się między niemi zaczyna, mogłyby pod wieloma względami służyć za wzór innym okolicom. Pracowite są jak mrówki, od trzeciej rano do dziewiątej wieczór, nie ustają w robocie, chyba przy jedzeniu. Same gotują, pieką, tłuką w stępie jagły i pęczak, robią w żarnach kaszę gryczaną, przedają, biela płótno, szyją domową bieliznę, same chodzą koło krów, owiec, świń, kur i gęsi, obrabiają ogrody warzywne, len, konopie i kartofle w polu, pomagają przy sianokosach i żniwie, chodzą na zarobki do dworu i do młyna, inne jeszcze zręczniejsze szyją drugim kaftany odświętne i spodnice, oraz cienkie koszule, a ani jedna gospodyni nie trzyma sługi, chociaż nie jedna na taki zbytek pozwoliłaby sobie mogła. Porządek u nich wzorowy, zapobiegliwość ogromna, skrętność drobiazgową, uczynność szczera.

Lud miejscowy przeważnie dorodny, a kobiety bywają bardzo przystojne, smagłe, ciemno-włose, prawdziwe krasawice, bo uroda ich nie tyle polega na regularności rysów, ile na przedziwnej świeżości cery, na blasku oczu, na uśmiechu odsłaniającym pyszne białe zęby, na tym uroku swojskości tryskającej zdrowiem, siłą i wdziękiem. Taka np. panna młoda ustrojona w czerwoną spódnicę, jasny fartuszek, w białą lnianą koszulę, w moc korali i różnokolorowych paciorek na szyi, a w „czuby“ z ponsowej tasiemki, wstążek i kwiatów na rozpuszczonych włosach, to typ o wiele ciekawszy od szablonowych krakowianek, mazurek itp., bo więcej tu bywa oryginalności kolorytu lokalnego, niezatartego częstem obcieraniem się o ludzi obcych i naleciałościami ze świata.

Ubiór codzienny dla mężczyzn stanowi koszula z grubego ale wybielonego bardzo starannie płótna, z szerokim kołnierzem wykładanym, zapiętym na szpinkę mosiężną ze szklanną główką, lub zawiązanym również jak obszewki rękawa na czerwoną wełnianą tasiemkę, zwaną „życzka“. Dalej spodnie z tego samego płótna średniej szerokości, koło kostek obciśłe sznurkiem przywiązane. W zimie na nogach okręconych onucami, buty z cholewami, w które dla ciepła wkładają trochę prostej słomy, a nawet w czasie wielkich mrozów, jeśli wypadnie jakaś dalsza droga, to i nogi po onuczkach okręcają skrętkami słomy raz koło razu i dopiero na to buty; na płócienne spodnie drugie szersze z sukna, domowej roboty, tkane na podstawie płóciennej — t. j. w jedną stronę idzie nić konopna, w drugą zaś przędzywo wełniane; — takie spodnie zowią „hołusni“, używane tylko w zimie, starczą na lata całe. Spodnie zawsze kładą w buty. Kaftan z bawełnianego siwego materiału, z małymi wyłogami, oblamowany naokoło czarną tasiemką i lekko podwatowany, ściśnięty w pasie „remieniakom“, tj. rzemiennym pasem, mniej lub więcej szerokim (od 2 cali do 6), ozdobionym mosiężnymi gwoździkami, deseniami wyciskanymi, dziureczkami, który ma z jednej strony zapięcia, a z drugiej wewnątrz małe skrytki na pieniądze. Przy pasie tym przeciągnięty jest u góry rzemienny sznurek, a na nim wisi „kozik“ albo „cyganek“, nóż składany w drewnianej okładce. Młodzi noszą takie pasy węższe, na dwa cale — a nawet dziś zupełnie odmienne zaczynają wprowadzać w użycie, bo czarne lakierowane ze świecą kłamrą w środku do zapięcia. Na wierzchu na to kozuch barani z dużym kołnierzem, ale na piersiach trochę otwarty, i gdy jeszcze potrzeba, sukmanę „sukmán“ z siwego sukna, lub z czarnego — ze swojej własnej wełny, długą do kostek, z tyłu złożoną od pasa w sześć fałd, po trzy do

środką — z przodu w samym pasie zapiętą na dwie duże haftki, bez wyłogów, ale wyciętą na piersiach. Na głowie siwa, duża barankowa czapka, a u młodych mniejsza, okrągła lub spiczasta i czarna. — Dawniej noszono ogromne czapy sukienne z wyłogiem baraním, rozciętym z przodu nad czołem, dziś już trudno spotkać taki okaz — chyba za Bugiem.

W lecie chodzą boso — zwłaszcza młodzi, koszulę noszą na wierzchu spodni, długą do kolan i kapelusz słomiany okrągły, dosyć niski — u kawalerów opasany czerwoną „życzką“, — u żonatyh czarną. Do dopełnienia stroju należy również krzyżyk mosiężny, zawieszony na szyi na tasiemce i spadający do środka piersi.

W święto bierze się wszystko czyste — spodnie z ciemnej bawełnianej materyi, kupne, kaftan czarny lub popielaty, również kupny, oblamowany tasiemką, lub welwetem czarnym z takimiż kłapkami u rękawów i u kieszonek — a na wierzch zawsze sukman tylko nowy, w lecie nie zapinany wcale. Kapelusz taki sam jak na codzień, tylko świeży — odświętny. Starzy spodni kupnych nie noszą, ale na koszulę wprost sukmanę nową i na tem koniec.

Kobiety na codzień noszą koszule z tego samego płótna co mężczyźni, niezbyt długie, bo do kolan nie sięgające, „malowanki“, t. j. spódnice płócienne, drukowane w ciemno niebieski desen. W tym celu niosą kobiety płótno już wybielone do miasta, do żyda, który się malowaniem zajmuje, wybierają sobie u niego wzór i ten im podług tego wzoru maluje. Wzory zaś są to blachy odpowiednio powycinane, które przykłada się do sztywno wyciągniętego płótna i po wierzchu smaruje się pendzlem olejną ciemno-niebieską lub żółtą farbą — następnie się blachę odejmuje i już robota skończona. Po wyschnięciu rysunku szyją z tego spódnice, bardzo mocne i dobre do „chodu“, bo się nie tak łatwo brudzą jak gdzieindziej płócienne białe. Desenie bywają najrozmaitsze, w każdej wiosce innego rodzaju.

Obecnie w Gródku już „malowanki“ prawie że zaginęły — gdyż egzystują jedynie stare zabytki — nowych zaś nikt nie sprawia, gdyż barchan kupny zastąpił domowe płótno. A szkoda wielka — bo malowanki były bardzo praktyczne, schludnie wyglądały, trwały długo, częgo wszystkiego nie można zastosować do barchanek. Teraz więc noszą barchanki brązowe, ponsowe z czarnym, białe z czarnym, dosyć długie, do kostek, u dołu obszyte czerwoną lub zieloną na półtora cala szeroką tasiemką, dalej „zapaska“ czyli fartuch z białego płótna i kaftan

malowany, zapinany pod szyję. Na głowie czerwona w deseń chustka perkalowa. „Onuczki“ i buty takie jak u mężczyzn. W lecie chodzą boso — w samych koszulach — a idąc w pole, fartuszkami perkalowymi zastępują „zapaski“.

Na święta czeszą starannie głowy, biorą czystą bieliznę, nowe barchanki, fartuszki zwykle ponsowe, lub różowe, czasem białe, a nigdy niebieskie, kaftan czarny, lub popielaty, zawsze watowany, na szyi paciorki szklane czerwone, żółte, zielone, czasem parę sznurków koralu, razem wszystkie tuż koło szyi i spadając poniżej na piersi, związane z tyłu czerwona, zieloną lub fioletową „życzką“. Krzyżyk osobno zawieszony — a różne medale poprzymocowane w środku do paciurek. Na głowach mężatki mają chustki związane na „kimbałce“, a dziewczyny zupełnie tak samo, tylko bez „kimbałek“. „Kimbałka“ potrzebuje objaśnienia. Dziewczynie idącej za męża, przed ślubem rozplatają włosy — i w rozpuszczonych chodzi przez całe wesele aż do oczepin. Na oczepiny zaś zdejmują jej kwiaty, wstążki i czuby, w jakie była przybrana, a na owe rozpuszczone włosy nakładają kółko zrobione z przedziwa i obszyte płótnem, dopasowane do głowy w ten sposób, że przechodzi przez środek ciemienia, koło uszów i nad dołkiem z tyłu głowy, gdzie do kółka przyłączone są dwa długie sznurki. Skoro kółko, czyli właśnie kimbałka jest założona — sznurkami wszystkie włosy związuje się nad karkiem, mocno dalej rozdziela na dwie połowy, przeprowadza w dwie przeciwne strony koło kimbałki na przód, znów tymi samymi sznurkami się tutaj przywiązuje — potem znów do tyłu się bierze i to tyle razy, ile długość włosów wymaga. Gdy włosy już na kimbałce umocowane, nakłada się na to „czepiec“ tej objętości co kimbałka, biały perkalowy, lub szydełkowej roboty, ściągany sznurkiem — i dopiero na tem wszystkim wiąże się chusteczka nieduża czerwona, zachodząca na uszy — wiązanie mająca w tyle nad karkiem — i bardzo zręczna w układzie. Mężatki więc nigdy już włosów nie pletą i z kimbałką nie rozstają się nawet na noc do spania. Dziewczyny rzadko kiedy chodzą z gołą głową, chyba czasami w święto w lecie do cerkwi — zwykle zaś w chustkach związanych jak u mężatek. lub końce przekręcają pod brodą i wiążą z tyłu. Sukmany takie jak mężkie, kożuchy podobnie. Sukmany z tyłu koło fałd, na kołnierzu, koło wykroju na piersiach aż do haftek, koło kieszeni, przybrane wełnianym czerwonym, granatowym lub zielonym sznureczkiem. Kieszeni właściwych w sukmanach nie ma, tylko otwory w ich miejscu, w które

wkłada się ręce od zimna, kobiety zaś przez nie wyciągają spodnice, chcąc uchronić je od błota lub od śniegu w zimie.

Ubranie świąteczne podnieszczone, przechodzi zazwyczaj na codzienne.

Kobiety po sukmanach przepasują się dla ciepła „krąjką“ tj. wązkim 2-calowym paskiem, różnokolorowym, wełnianym, który wyrabiają same na małym bardzo prostym warsztaciku. Taką krąjką przypasuje się też w święta fartuszek, a frendzla od niej wygląda z przodu z pod kaftana. Spodnice perkalowe uważane są jako rzecz zbytku — i noszone tylko na święta, wesela, na „muzyki“, tj. na tańce w karczmie, a podobnie jak fartuszki bywają tylko czerwone i różowe.

Żałobę noszą tylko kobiety. U mężatek tem się odznacza, że na głowie chustka jest biała — dziewczyny zaś nie noszą paciorków. Żałoba jednak nie jest obowiązkowa i zależy od dobrej woli jednostki.

Kolor biały jest kolorem żałobnym. Kobiety i dzieci do trumny zawsze ubierają kompletnie białą.

Rozwój fizyczny idzie w parze z wrodzonymi zdolnościami i wielką pojętnością. Samorodnych majstrów: stelmachów, stolarzy i innych tego rodzaju rzemieślników jest sporo we wsi, a zmysł artystyczny i wyobraźnia, jakkolwiek nie rozbudzona, tleje niewątpliwie u większości tego ludu, śpiewającego śliczne, tęskne dumki i pieśni łożami brzmiące, a kochającego się w czystości i porządku dochodzącym już do poczucia symetrii, co bywa rzeczą nader rzadką między wieśniakami ze stron innych. Przytem lud to niezwykle przebiegły, chytry, umiejący wszystko wyzyskać na swoją korzyść, a właściwości te w połączeniu z chciwością, grają nie małą rolę w ich życiu — prawie, że rządzą nimi.

Małżeństwa np., to jedynie mniej lub więcej korzystny interes, to środek do zdobycia kilku morgów ziemi, do powiększenia w chacie liczby pracujących bez potrzeby wydania gotowego grosza na najemnika, to wzajemna nadzieja utargowania cośkolwiek z jednej, a ocyganięcia z drugiej strony. Uczucie nie wchodzi w grę zupełnie, co najwyżej jeszcze uroda, powierzchowność ma trochę znaczenia, a i to przeważnie tylko u kobiet. Zdarza się bowiem często, że dziewczyna mimo prośb i perswazyi uie chce jakiegoś chłopaka — bo się jej nie podoba — gdyż „raby“ tj. dzióbki na twarzy — albo „ślepy“, tj. krótkowidz — albo za mały, albo „świndrowaty“ czyli kędzierzawy jak żyd — szczególnie zaś nie znoszą upośledzonych od natury: kulawych, garbatych, zezowatych i rudych — a rudych za nic!

Mówiąc o wadach, trudno przemilczeć o przymiotach, zwłaszcza, że ten sam Rusin chciwy i wyrachowany, dla kilku rubli prawujący się po sądach, choćby z rodzonymi „bat’kami“ — ten sam jednak jest gościnnym w domu, miłosiernym dla żebraka i sieroty, rzetelnym dla najemnika i sługi. Jest tu np. we zwyczajach, że w adwencie biedne komornice, wyrobniczek itp. „chudziny“ chodzą po „nawalnem“, tj. idą od chaty do chaty, częstują gospodarzy wódką, a za to dostają: chleb, słoninę, kaszę, mąkę, zboże, przedziwo, co kto da; — otoż zbierają zawsze tyle tych rozmaitości, że i koszt na wódkę wydany, wraca się im w dwójnasób i w dodatku pożywienia mają jeszcze na parę miesięcy.

Albo znów inny podobny stary obyczaj — zwany „pomynálnycią“, a mający na celu wsparcie jałmużną żebraków, odmawiających pacierze za dusze zmarłych. — „Pomynálnycia“ obchodzi się dorocznie w poniedziałek po przewodniej niedzieli. W ten dzień gromadzi się około cerkwi taka ilość dziadów, kalek, sierót i różnych włóczków, że formalnie precyzyjnie się między nimi nie można, a jednakowoż cały ten tłum żebraczy pod koniec dnia ledwie jest w stanie unieść swoje worki i sakwy, a gdy dziadów z jednej rodziny jest parę osób, to nazbierawszy parę worów chleba — wieprze nim wypasają. Daje to pojęcie o ofiarności powszechnej.

Zwyczaje swoje dawne, obchody i zabawy zachowują wierne podług tradycji z wyjątkiem ubrania, które w ostatnim dziesiątku lat zaczęło się silnie zwracać ku modom miejskim, Rdzeń ich wierzeń wrosły w przekonania i w praktykę codzienną, nie odmienił się o wiele, chociaż wydać się może na oko, że jest inaczej. Naturalnie, że z konieczności stykając się z miastem, z koleją, mając do wyboru masę nowych a tanich towarów, łatwość w zbliżeniu się do ludzi inteligentnych w osobach doktorów, adwokatów, których dawniej albo wcale nie było w okolicy, albo bardzo byli nieliczni, a dziś taki Hrubieszów posiada ich do dziesięciu — nieodzownie musiał się lud ten cokolwiek wypolerować, nabrać nowych gustów i przyswoić sobie nieco odmienne pojęcia, w gruncie jednak zmiany te są jeszcze bardzo nieznaczne, więcej powierzchowne i właśnie dlatego na razie uderzające niektórych. Dajmy na to, chociaż jeden, drugi i dziesiąty chłop radzi się już teraz doktora, zna nawet kilka środków aptecznych, jak: chininę, olej rycinowy, jodynę, z pewnością daleko silniej wierzy w znachorów, zamawiaczów i leki, przez nich zadawane. Do doktora udają się dopiero w ostateczności i to

zawsze z powątpiewaniem, czy on cokolwiek pomoże, kiedy ten lub ów nic już poradzić nie potrafił. Lekarstwa apteczne, względnie najprzyjemniejsze w użyciu, budzą w chłopie wstręt, odrazę, bierze je niechętnie — jedynie z racyi wydanych pieniędzy; przepisane jednak przez znachorkę najwstrętniejsze mieszanki łykają bez skrzywienia, a najboleśniejsze operacje wykonywują wiernie co do joty.

Przed kilku laty chorowała w Gródku kobieta na tyfus. Przez kilka tygodni była między życiem a śmiercią, bezwładna, nieprzytomna, bez żadnej opieki i pomocy — cudem podniosła się nareszcie z łóżka. Ale wyczerpana choroba, a następnie brakiem wszelkich wygód w czasie rekonwalescencji, straciła zupełnie siły i parę miesięcy upłynęło już od chwili przesilenia, a przez izbę przejść jeszcze nie może o swojej mocy — nogi pod nią drżą, uginają się i ból dokuczliwy nie ustępuje z nich. Radzi się baby. Baba tak powiada: Trzeba wziąć drobnych gałązek z tarniny wiązeczkę sporą, bylicy, piołunu, macierzanki, rozchodniku, mięty, pokrzywy i różnego zieleń, wosku nietopionego cały plaster, kilkanaście trzasek żywicznej sosny, to wszystko ułożyć na środku izby, pokropić święconą wodą, i dotąd przez ten ogień bosemi nogami przechodzić, póki się wszystko nie spali — a całą niemoc z nóg „ogień święty wyciągnie“. Chora, której choroba dobrze dokuczyła, zwłaszcza, że jako wdowie z drobnymi dziećmi ciężko szła gospodarka, chwyta się tej rady, jako deski ratunku, rozpala ogień podług przepisu i zaczyna chodzić, nie bacząc, że nogi parzy, że dym gryzący tamuje oddech, że chwilami mrok zasłania jej oczy. Sporo czasu upłynęło, nim ktoś przyszedł i zobaczył, co się dzieje. Okazało się, że chora ma straszliwie poparzone nogi, palce zupełnie zwęglone, gorączkę i we wsi nikt nie podejmuje się jej dozorować. Odwieziono biedaczkę do szpitala w Hrubieszowie, zkad po sześciu tygodniach wyszła bez palców u obydwóch nóg... ale znachorka pocieszała ją, że gdyby nie jej ogniowa kuracja, byłaby nie odzyskała mocy w nogach, a tak chociaż bez palców chodzić może. Tłómaczenie trafiło widocznie do przekonania poszkodowanej, gdyż nie odzywała się o babie z żalem lub urazą.

Mimo wiary, jaką otacza lud miejscowy swoich „znających“, miru oni ani szacunku nie mają, owszem uważani są za coś zbliżonego do czarownic i strach tylko chroni ich przed jawnem lekceważeniem i wzgardą.

Tak samo ma się i z gusłami różnemi. Wierzą w nie święcie, stosują się zawsze do swoich zabobonów, ale czarownic,

w których ześrodkowuje się cała owa władza cudotwórcza, boją się, a w głębi duszy uważają je za istoty wstrętne, nikiemne, złe, brzydzą się nimi i wymyślają tysiące sposobów ku zniweczeniu ich „złej“ mocy.

Baśni o „wiedźmach“ i szczegółów o zdobywaniu przez nie siły nadprzyrodzonej, jest mnóstwo w podaniach ludu tutejszego, ale opowiadać o tem nie lubią, aby nie rozbudzić „złego“ i biedy nie ściągnąć na siebie, lub swój dobytek. — Czarownice lubują się przedewszystkiem w porze nocnej, bezksiężycowej, wietrznej i zimnej; wtedy bujają sobie wesoło po świetle, szukając, komuby szkodzić mogły. Na granicach wsi, na rozdrożach, zbiegają się o północy w kilka i ze „złym“ naradzają się nad swemi dyabelskimi sztukami. Tu, w jednym miejscu trzeba krowom mleko odebrać, tam dziecku zadać „na płacze“, w innem „poswarzyć“ z sobą małżeństwo lub „uroki“ rzucić — i tak dla każdego coś znajdują, do kogo tylko złość czują — a skoro kur pierwszy zapieje, wracają do domów i kominem wsuwają się do izby, aby nikt z domowników nie podejrzywał, że ze „złym“ mają „poznaczenie“.

W dzień Wniebowstąpienia raniutko przed wschodem słońca czarownice zupełnie rozbrane biegną do lasu, gdzie rośnie jarzębina i obrywają z niej wszystkie młode pędy, drzewo trzy razy w kółko oblatują i wracają co prędzej do siebie, gałązki chowają pod strzechę, a te zadawane potroszku krowom, sprowadzają tyle mleka, że go przejeść nie można — ku szalonej zazdrości sąsiadek, którym znów podrzucają do obór gałązki z drzewiny, użytej na „majenie“ świątyni w Zielone Świąta, aby ich krowy cały rok mleka nie dawały.

Na odbieranie mleka poszkodowane gospodynie starają się sobie radzić i szukają różnych sposobów, aby złemu zapobiedz; a więc najpierw, żeby się dowiedzieć, kto jest sprawcą szkody, tak się postępuje: trzeba wziąć cedziłko płócienne, zwykle do cedzenia mleka używane, trzy razy po trzy kolek z tarniny, tyleż igieł i gotować to razem w glinianym garnuszku — kłując ciągle wrzecionem i mieszając niem w miejsce łyżki.

Po niedługiej chwili niezawodnie ten kto „coś porobił“ krowie, przyjdzie do chaty i stanie przy proggu, a tak się będzie mienił na twarzy, tak go będzie wszędzie kłuło, że w końcu nie wytrzyma i zacznie prosić, aby dali pokój i przestali gotować cedziłko, to on im „odczyni“ krowę, nigdy mleka nikomu nie da odebrać, i tyle obiecuje a obiecuje, że go i puścić trzeba — bo nużby jeszcze później przez złość co gorszego zadał...

Inny sposób na powrót mleka jest również ciekawy — choć rzadziej praktykowany, gdyż trudniej skutki pożądane przynosi. — Skoro krowom „coś“ mleko odbierze, zmagają się trzy dziewczyny z jednej wsi i każda z nich osobno do dnia idzie po wodę, ale w trzy oddzielne miejsca. Naczerpnawszy wody, pędem wracają do wsi i powinny się razem zbiedz w jednym punkcie jednocześnie, poczem wodę do jednej chaty zanoszą i dobrze chowają. Na drugi dzień te same dziewczęta z podobnymi ostrożnościami idą na trzy granice po jednakowe ziele, na trzeci dzień na trzy drogi rozstajne po tarninę lub jakikolwiek patyczek — wracają do wsi i w sekrecie przed wszystkimi gotują w owej wodzie zerwane ziele i patyczki, a odwar ten będzie taki żółty i gęsty jak olej... Wtedy rozbiegają się na trzy granice — rękoma wykopuje każda dołek w ziemi i swoją część odwaru wlewa. W jednym z tych dołków czarownica musi się utopić — urok zatem minie i krowom mleko wróci. Dziewczęta tylko powinny pamiętać, aby wracając z wycieczek swoich po wodę, ziele i tarninę, pod żadnym pozorem nie oglądać się za siebie i nie potknąć się na drodze, bo cała wyprawa będzie na nic.

Podobnie jak odbieranie mleka krowom, tak i „płacze“ niemowląt bywa uważane stale jako sprawa czarownic. Dziecko w ten sposób urzeczone, cały dzień zachowuje się spokojnie, ale od zmierzchu do świtania płacze i płacze bez odpoczynku i niczem utulić go nie można. — Pewnej kobiecie dziecko płakało przez dwanaście tygodni. Strapiona, rady już sobie dać nie mogąc, poszła uzalić się przed swemi krewniaczkami i rozpytała się między starszemi kobietami, coby na to radzić?

— Idźcie do starej Usaczychy, ona wam najlepiej skaże — zakonkludowały baby. A stara Usaczycha, to sąsiadka strapionej matki, „wiedźma“ osławiona na wiele okolicznych wiosek.

Kobieta oczywiście usłuchała rady i idzie prosto do owej „znającej“ sąsiadki ze swoją prośbą, popartą kawałkiem słoniny. Usaczycha dar schowała i poszła zaraz za proszącą do jej chaty, stanęła nad kołyską, poszeptwała kilkanaście słów, trzy razy się w koło rozejrzała po izbie, a wyszedłszy na dwór, z nad drzwi wchodowych ze strzechy wyjęła trzy szmatki: białą, czerwoną i niebieską, za „pazuchę“ wsunęła i nie oglądając się odeszła, dziecko zaś od tego dnia płakać przestało.

Te i tym podobne przykłady, w których prosty przypadek, traf, zbieg odpowiednich okoliczności, uchodzących uwadze nieświadomych — przyczyniają się do utwierdzenia wiary w te zabobony, chociaż siła tych wierzeń nie jest równa w całej masie.

Jedni przyjmują owe fakty z uśmiechem wątpliwości, a nawet lekceważenia, lecz tych niewielu, inni z najgłębszym przekonaniem, z przeświadczeniem o niezbitości ich prawdziwości i mocy i próżno się silić, aby im te gusła wybić z głowy. Owa Usaczycza n. p. umarła, o ile przypuszczam z opowiadania, na raka w żołądku, otóż o niej rozpowiadali mi, że jej kiszki bokiem wyszły, bo je krzywda ludzka wypchnęła. Staralam się sprostować to mylne mniemanie, przytoczyłam jako dowód kilka znanych im samym identycznych wypadków u osób najzacniejszych, ale wszyscy mieli jedną odpowiedź: „Ej... to co innego, tu był dopust Boży, nieszczęście, a tam złe wyparło i już“.

Wiara w uroki ogólnie najsilniej jest zakorzenioną pomiędzy tutejszymi mieszkańcami. Urokom podlega wszystko: ludzie, ich sprawy, zdrowie, interesa, „chudoba“, tj. wszelki żywy dobytek, urodzaje, jednym słowem wszystko. — Ktoś się ożeni, a po ślubie zobaczy, że pod jakimkolwiek względem zły wybór zrobił, utrzymuje, że go druga strona urzekła. Zachoruje nagle, zaziębi się — już go urzeczono; jedna baba ma len piękny, kapustę w dużych głowach, druga obok na zagonie jedno i drugie liche — to napewno, że jej uroki rzucono — i tak w każdej rzeczy, jeśli jest tylko gorszą od ogóln. upatrują zawsze „uroki“.

Niemniej jednak na inne wierzenia i zabobony pozostaje dosyć jeszcze miejsca w umyśle Rusina i oto dla przykładu zamieszczam tu najrozmaitsze, jakie mi się zebrać udało :

— Pod kurę do wysiedzenia jaj nie liczyć, bo się kurczęta źle będą legły — tylko od razu z czapki wysypać w siedzenie, to leg będzie równy i kurczęta duże.

— Jaj ani żadnego nasienia nie odmieniać, bo się drób albo dany gatunek zboża „zwiedzie“, tj. przepadnie, zbiednieje.

— Proso siać po zachodzie słońca, to wróble nie będą na niem siadać.

— Grochu nie siać na nowiu, bo będzie ciągle kwitł zamiast iść w strączki, siać go zaś w dnie, w których niema „r“, to nie będzie robaczny — a więc w poniedziałek, piątek i sobotę.

— Kobieta — myszy ani zabić, ani wziąć do ręki nie może, bo się jej chleb nie uda.

— Kości z mięsiwa wielkanocnego zakopać w polu w miejscach, gdzie rośnie oset „bodiaki“, to całkiem wyginie.

— W Boże Narodzenie w skrzyni odzienia nie ruszać, to kretów „kretów“ i myszy w polu nie będzie.

— Paproć zbierają dziewczęta w nocy w wigilię św. Jana i zakładają za strzechę na szczęście, ale „niesprawiedliwa“ dziewczka

(tj. taka, której dziewiczość jest wątpliwa), nigdy takiej paproci nie urwie, bo choć ją znajdzie, to paproć wziąć się nie da, gdyż co rękę po nią wyciągnie, to jej uchwycić nie może, a potem jak się rozwidni, to już i urwana na nic — już „mocy“ nie ma.

— Za wychodzącymi ze sprzedażą na jarmark pozostający w domu — sypią śmiecie i trzaski, żeby się targ udał.

— Gdy żęncy przy żniwie staną dla odpoczynku, lub dla związania snopa, czy dla ułożenia półkopka odejdą na bok — nie można przechodzić między nimi a zbożem stojącym jeszcze na pniu; — takie „zachodzenie“ szkodzi, sprowadza okaliczenie ręki sierpem, albo nagłą chorobę; trzeba więc zawsze pamiętać, aby zboże nie ścięte i żeniec wypadły po jednej i tej samej stronie idącego.

— Kapustę, aby ładnie rosła, podlewać trzeba wodą, zebraną w marcu i przechowaną aż do lata.

— W Wielką Sobotę, chłopci mający pszczoły, starają się ukraść w kościele wody używanej przez cały rok do święcenia i kawałek wosku z paskału... Pszczoły pokropione tą wodą i okadzone woskiem — będą zdrowe i dadzą dużo miodu.

— Babie w poważnym stanie nie można nic odmówić, skoro prosi — inaczej zaraz mysz dziurę wygryzie w ubraniu, albo w jakim sprzęcie gospodarskim, a wielkość tej dziury zależna jest od okresu stanu, w jakim się znajduje prosząca.

— Za taką kobietą rzucić chlebem, to dziecko, które się urodzi, będzie całe życie syte i zamożne, a rzucić ziemią, to to samo, co skazać go na głód i poniewierkę.

— Głos kury podobny do piania koguta, jest zapowiedzią choroby lub śmierci w domu; aby zły prognostyk unicestwić, kurą ową mierzy się długość chaty na środku od okna do drzwi wchodowych; jeśli na progu wypadnie głowa, to się ucina głowę, jeśli ogon, to ogon. Po tej operacji, złe już się uważa za zażegnane, a „kurejko“, choćby się tylko skończyło na ucięciu ogona, zwykle już więcej nie pieje.

— Groby wisielców i topielców zabijają aż do trumny mocnym kołkiem dębowym, żeby nie wstawali w nocy i ludziom nie szkodzili.

— Gdy komu pieniądze zginą — znajomi składają się po parę groszy i uzbieraną tym sposobem sumkę jeden z nich najśmielszy, albo sam uszkodzony niesie w nocy do cerkwi i kładzie na marach. Po spełnieniu tego aktu — mają to przekonanie, iż złodziej i cała jego rodzina zbiednieje i powoli wymrze. Nazywa się ten zwyczaj „noszeniem na mary“ i stosunkowo do

grozy, jaką budzi w ludzie — dość często się praktykuje. — Podobnym do poprzedniego jest też zwyczaj zmuszania podejrzanych o kradzież do leżenia krzyżem w cerkwi podczas nabożeństwa — przyczem wierzą święcie, że jeśli między leżącymi był złodziej, to on już nie wstanie więcej, a zrobi się po śmierci czarny jak ziemia.

* * *

O zboczeniach umysłowych, waryacyi, szaleństwie nie mają naturalnie żadnego pojęcia i wszystkie tego rodzaju chorobliwe objawy, uważają jako dowód stosunków ze złym duchem, albo też opętania. — Opowiadano mi np., że w jednej z okolicznych wiosek jest kobieta, która goni za ludźmi, jak kogo złapie, to bije, drapie, dusi, że trudno jej taką ofiarę odebrać z rąk — a choć zwykle jest zamknięta na kłódkę w chlewie — jednakże czasami taka siła ją napada, że wyłamuje drzwi i ucieka z zamknięcia. Kobieta ta poprzednio umiała „zmawiać“ ukąszenia psa wściekłego, a teraz sama jest gorzej psa.

W Gródku jest kobieta, która wskutek złego obejścia się męża z nią — bicia i różnej poniewierki, dostała uderzenia pokarmu na mózg i teraz ma niekiedy napady pomieszania zmysłów, zupełnie dla nikogo nieszkodliwe. Mąż wygania ją na noc z domu — nikt przyjąć do siebie nie chce, więc z malutkiem dzieckiem przy piersi nocuje w dołach, z kądem glinę wybierają... bita, głodzona, poniewierana, ośmieszona żyje jednakże i żyje na swoje nieszczęście. Kobiety, sąsiadki jej litują się nawet nad nią — niejedna dziecko jej wykąpie, nakarmi, mlekiem poczęstuje, ale strach paraliżuje dobre popędy i na stałe nikt się tą biedotą zająć nie chce.

Zamawiania czyli „zmówiania“, jak zwykle się wyrażają, w każdej chorobie są w użyciu — chociaż najskuteczniejszymi mają być: po ukąszeniu przez psa szalonego, od bólu zębów, od róży i od łamania po kościach. W tych wypadkach „zmówienie“ jest środkiem niezawodnym — a zamawiacze znani są daleko w około, lud się do nich schodzi o kilka i kilkanaście mil. Chłop z sąsiedniej wioski Czerniczyna — umiejący zamawiać wścieklicznę, dobre interesa robił na tej swej praktyce — gdyż za każdą butelkę cudownego lekarstwa i jednorazowe zamówienie brał po 30 kop., wobec zaś znacznej liczby przyjeżdżających do niego po poradę — sądę, że sporo zarabiał rocznie. Lekarstwo, które dawał pokąsanym ludziom i zwierzętom tak do picia, jak i do przemywania ran — o ile można było dojść na oko, stanowił

barszcz dzieżny z chleba razowego i niewiadomo jak spreparowany Maik pospolity (*Meloe proscarabaeus*), gdyż cząsteczki jego bardzo wyraźnie rozróżnić można było — skrzydełka, czasem główka źle roztarta; w jaki jednakże sposób wszystko razem przyrządzał, niepodobna się było dowiedzieć. Faktycznie zaś lekarstwo to pomagało; sprawdziliśmy to i u siebie na pokąsanych psach i krowach i potwierdziło to wiele zupełnie wiarogodnych osób. Formy zamawiania nie można też wydobyć nigdy — mimo wielu najrozmaitszych forteli, używanych w tym celu; słowa zaś dorywczo podsłuchane są na pozór słowami bez związku i sensu, i u każdego zamawiacza zdają się być zupełnie różne.

Rusin tutejszy, chociaż jest rozmowny i towarzyski — choć sam lubi się wypytywać — i z ciekawością wszędzie wgląda, o sobie nie wiele podaje szczegółów i jak tylko spostrzeże — a spostrzeże szybko, że jest badany, zaraz zacznie udawać głupiego, i nic się od niego nie dowiesz. W innych stronach, gdzie lud umie czytać, gdzie pojedynczy amatorowie trzymają, lub przynajmniej czytają gazetę — można działając na ambycję — zachęcić do opowiadania, czy zaśpiewania jakiej pieśni, gdyż dla wielu jest to wielki zaszczyt być podpisanym w gazecie — i chętni bywają do wszelkich objaśnień, byle tego zaszczytu dostąpić. W Gródku atoli ani jeden chłop nie umie nawet sylabizować — a o „gazecie“ nikt dotąd nie słyszał — więc obietnica, iż pieśni jego zostaną wydrukowane — a on sam z imienia i nazwiska wymieniony będzie — wywołują lekceważący uśmiech, a nawet niechęć — i nie naciągnie się na opowiadanie nikogo nadzieją owej chwały.

Niektóre wszakże zabawy i zwyczaje można samemu łatwo zobaczyć, gdyż zupełnie się z niczem nie kryją — owszem bardzo radzi są każdemu gościowi zawsze, na wesela zapraszają i częstują aż do znudzenia, tylko detalicznie opowiadać nie lubią, ani śpiewać na zawołanie, ani wdrażać zbyt ciekawego w swoje sprawy, obrzędy, gusła, a trudno znów z drugiej strony — bez tej od nich pomocy, wnikać w najdrobniejsze z codziennego życia szczegóły, poznać np. wesela, ciągnące się po trzy, cztery i pięć dni, trudno zapamiętać setki pieśni, bajek i klechd i tych przeróżnych drobiazgów moc nieprzebraną.

Chrzściny prócz sutych libacyi, nagromadzenia jadła, śpiewów dosyć swobodnych — nic ciekawego nie przedstawiają. W drugi dzień Wielkiejnocy zato urządzą śmigus, rozmaite gry, zabawy wspólne, chuśtawkę — chtopaki wyprawiają różne figle i psoty dziewczętom, tak, że te formalnie nie mogą się pokazać

na dworze, a wykupują się od zbytnej dokuczliwości pisankami, których po pół kopy na ten cel przygotowują. Zaraz po nabożeństwie, jeśli pogoda sprzyja, zbierają się na najobszerniejszym placu we wsi, starsi obsiadają do koła, a młodź huśta się, gra w rodzaj „kotka i myszy“ — albo „w przepiórkę“, śpiewając:

Perepyłońka, perepylczyk ide,
Tut buła, tut nema, perepyłońka. — 2 razy.
Perepylczyk ide, czerewyczki nese,
Tut buła .. itd.
Perepylczyk ide, spidnyczkońku nese,
Tut buła .. itd.
Perepylczyk ide, fartuszok nese,
Tut buła .. itd.
Perepylczyk ide, a korali nese,
Tut buła... itd.
Perepylczyk ide, wisiom kony wede,
Tut buła. . itd.
Wisiom kony wede, perepyłońku woźme,
O wże je, o wże je, perepyłońka.

Najchętniej zaś śpiewają „Zelmana“, tj. pieśń o jakimś Zelmanie, wysławiającą jego bogactwa i znaczenie — a która się zaczyna od słów:

Jędzie, jedzie nasz pan Zelman,
Jedzie, jedzie jego brat,
Jedzie, jedzie Zelmanowa cała rodzina — itd.

Nuta tego Zelmana jest brzydka, monotonna, warianty w tekście najróżnorodniejsze — ale dlatego zasługuje na wspomnienie, że tylko ona i pieśń przy odjeździe panny młodej do domu męża bywa śpiewana po polsku — zresztą zaś wszystkie inne bez wyjątku po rusińsku.

Z innych zabaw urządzają jeszcze „ochoty“ i kobiety zamężne, „kołodki“, a gdzieniegdzie po dworach dożynki.

„Ochoty“ lub inaczej „ochót“, jest to zabawa w rodzaju naszych „jędrzejków“, do której należą jedynie chłopcy i dziewczęta, żądni dowiedzenia się swej przyszłości. Dziewczyny składają się razem na słoninę, mąkę, kaszę, mięso, chłopaki na muzykę, wódkę, piwo i wspólnie zebrane prowianty zanoszą do jednej chaty, gdzie gospodyni, znana z gościnności i „dobrej woli“, zaprasza wszystkich do siebie, obiecując zająć się przyrządzeniem, czego potrzeba do zabawy.

W wigilię tedy Nowego Roku zgromadza się cała młoda drużyna i wśród śmiechów, a nibyto wielkiego zażenowania między

płcią piękną zaczyna się „ochot“. Najpierw tedy wnoszą niecki pełne wody, a dziewczęta wrzucają w nie pierścionki. Który chłopak złapie pierścionek w wodzie, nim ten do dna doleci, ten się z właścicielką tegoż ożeni w tym roku. Wybuchają zaraz wesołe śmiechy, żarty i dowcipy; — chłopak jeśli rad z przysądzonej mu trafem żony, chce ją gwałtem pocałować, — dziewczyna się broni, a reszta patrzy z zadowoleniem. Następnie chłopcy rzucają do niecek złotówki, a dziewczyny się o nie dobijają i to z niemałym zapałem. Gdy się ta część zabawy sprykrzy — sprzątają niecki, a wstawiają na środku izby ławkę, na niej zaś rzędem „paluchy“, tj. podługowate kawałki pieczonego ciasta, ułożone równo w jednej linii i jednakowej odległości między sobą. Gdy już każda dziewczyna ma swój „paluch“ na ławce, wpuszczają do izby psa i zachęcają go do skosztowania owych ciastek. Pies trochę przegłodzony nie opiera się — a gdy weźmie jedną sztukę — wnet powstaje krzyk, zamęt. Czyj paluch został wzięty, ta najpierw w tegoroczne zapusty za męża pójdzie. Lecz pies zjadł jeden kawałek, więc sunie po drugi — zapanowuje cisza, oczy wszystkich na wyborcę zwrócone... bierze paluch Maryny i niesie go pod stół — o, to dobry znak! Maryna na jejieni za stołem na swoim weselu zasiądzie; dalej idzie paluch Kaśki... o! pies go niesie pod komin w popiół — źle! Kaśka z mężem mieszkać nie będzie.. Ale pies się już najadł i nie chce więcej paluchów — właścicielki ich smutnie patrzą, bo to znak, że w tym roku za męża nie wyjdą — więc psa za drzwi — a nowa próba. Dziewczyny wychodzą do sieni, a gospodyni ustawia na stole dnem do góry tyle misek, ile jest dziewczek i pod każdą miseczkę kładzie albo czepiec, albo paciorki, albo „pojas“ (pas wełniany). Gdy pod wszystkimi podłożone, wpuszcza dziewczyny — niech wybierają. Stają biedaczki dookoła stołu, poglądają, myślą, nareszcie każda się w końcu decyduje — i cóż? ta ma czepiec, to ślub, tamta pojas, to zaręczyny, trzecia paciorki, to panieństwo! Później palą jeszcze kulki z przedziwa — a gdy się już próby szczęścia wyczerpią, muzyka zaczyna grać i taniec daje zapomnienie o przyszłości — śpiew zagłusza wszystkie troski... Po północy rozchodzą się młodzi — ale dziewczyny jeszcze raz próbują i biegnąc ku domowi, liczą kołki w płocie i wołają: „młodec, wdowec, młodec, wdowec“, a co na ostatni kołek wypadnie, ma znaczyć, czy dostanie na męża kawalera lub wdowca.

„Kołodka“, to znów zabawa kobiet mężatek, na którą nigdy nie pójdzie żadna dziewczyna, chociaż nie ma w niej nic nie-

przyzwoitego — ale tak ze zwyczaju nie uchodzi, aby się między mężatkami dziewczęta znachodziły.

U Rusinów zapusty kończą się nie tak jak u nas wraz z Środą popielcową, lecz od Niedzieli środę tę poprzedzającej. Otóż w poniedziałek po zapustnej niedzieli — kobiety zbierają się u jednej z sąsiadek wieczorem — śpiewają, tańczą, piją wódkę, przechwalając się swymi tegorocznymi zbiorami — przyczem zakończęją zawsze śpiewając:

„Kołodeczka, kołodka, w koho huba sołodka,
W koho idna, w myni dwi, sołodkije obydwii“.

Zabawny jest widok, jak podpite baby wyskakują w górę i klaszcząc w ręce, wołają: „o! nechaj tylij lon urosne“ — tj. niby taki wysoki, jak wysoko babula podskoczyła.

Dożynki mało już gdzie bywają obchodzone hucznie i z muzyką, tańcami i jadem — jedynie przodownice przynoszą wianki z pszenicy i z żyta przeplatane owocami, jarzębiną i czerwoną życzką (wąską wełnianą tasientką), przyczem jedna ma do państwa przemowę, winszującą obfitych zbiorów — reszta zaś śpiewa z rozmaitymi dodatkami i zmianami, mniej więcej co następuje:

Dożynaj kozy, dożynaj, Pana Jezusa wspominaj!
Jużeśmy kozy dożeli, Pana Jezusa wspomnieli.
Oj krężele, krężele, jużeśmy pszenicę dożeli.
Ne chowaj się panoczku pred nami,
Bo my tebe baczym hoknamy.
Chodyt' nasz paneńko po sini,
Nosyt' talary w kiszyni,
Wsi po idnomu wyjmuje,
I żniwaczeńkom daruje.
To wam żniwaczeńki za toje,
Szczoste pszaniczke wyżeli moje.
Zaryzaj nam panoczku hindyka,
To nam bude dobra muzyka.
Zaryzaj nam pane kaczora,
To bude dobraja weczera.
Zaryzaj nam pane barana,
Budem praciowaty do rana.
A nasza pani domu je,
Dobre weczere gotuje.
Wże nam weczera ne myła,
Bo nas nywońka stumyla, (zmęczyła).
Ne tak nywońka jak horońki,
Bośmy zajmały szyrokkii zahonki.
Inszy żniwaczeńki leniwe,
Stoi pszanyczeńka na niwie.

A nasz paneńko rano wstał,
Wyżął pszanyci cały łan.
Otwórz nam pane worota,
Nesem winoczek ze złota.
Żeła go nasza diwoczka,
Do jasnoho słoneczka.

Jest tu wiele jeszcze innych dodatków — przyczem pieśń ta zwraca uwagę, że tekst nie jest jednolity rusiński, lecz silnie mięszany z polskimi słowami — co podług mnie jest dowodem, że dawniej dożynki musiały być śpiewane zupełnie po polsku, gdyż jako zabawa czysto dworska — i początek swój musiała brać ze dworu — a więc i język również. Teraz np. w wioskach graniczących z Wołyniem — gdzie języka polskiego chłopci prawie nie rozumieją — dożynki są śpiewane z przewagą rusińską — dalej zaś od Buga, do tej pory jeszcze śpiewają zupełnie po polsku.

Więcej zabaw między Rusinami tutejszymi sędzę że niema wcale — mieszkając tam bowiem przez lat dwadzieścia, musiałabym się o nich dowiedzieć. Taniec zaś, który lubią namiętnie, jest wielce rozpowszechniony i ztąd też śpiewają masę krótkich, skocznych piosneczek, zastosowanych do tańca, czasem rzeczywiście w bardzo wesołym tempie i z doskonałym zacięciem. Poniżej umieszczam tekst kilku :

Oj! du, du, du, du,
Jakżeż ja budu?
Frobyłam nużońku
Na suchej hrudu.
Ne tak na hrudu
Jak na taraynu,
Poichaw mij mylyj
Na Ukrainu.

A tam w polu newka
Sama matereńka,
Tam Juziunia zito żała
Sama czarnobrewka.
Ichaw Hilunio,
„Pomahaj“ ii rzecze,
Ona jomu otkazała,
Bywaj zdorow serce.

Oj diwczyno, diwczynońku, szczo skażu ja tobi,
Ne kazala maty braty, ne majesz chudoby.
— Mene maty ne choduje, ani przykrywaje,
Nechaj mini chudobońki ne wypomynaje.
— Jak ja budu Boha hodeń, ty budesz szczaslywa,
Dorobim sia chudobońki, to bude nam myła.

Ty diwczyno, panno panno,
Lubyw ja tebe dawno,
Jeszcze ty nie raczkowala,
Jak tyś mi sia spodobala.

Czerez reczeńku, czerez bolota,
Podaj ruczeńku diwczyno złota.
Czerez reczeńku, czerez bystroju,
Podaj ruczeńku, podaj druhoju.

Stepan, Stepan,
Powoli stupaw,
Od chaty, do chaty,
Nauczywsia brechaty. (kłamać).

Horyłku piju, bo ii lublu,
A któż-że ii bude pyty, jak ija wumru.
Budut' pyty spomynaty,
A któż naszu chudobońku bude zahaniaty.
W ogrodoczku ruta drobnyje kwitcie,
Zaženut' ti chudobońku drobnyje ditie.

Sztyry woly, jak sokoly
Rohamy sia czesut',
Wydaj maty doczku za muż,
Bo wsi lude breszut'.
Nechaj breszut', nechaj breszut',
Ja ich ne boju sia,
Koho lublu, pociluju,
Szcze taj prytulusia.

Oj! mamuniu bude złe,
Jak win mene ne woźme,
Całkom lito obejmał
A na zymu odehnał.

A ja ne chozczu Sydora, Sydora,
Bo Sydor w drubuj buł wezora.
Woźmu ja sobi Iwana,
Bo win podobnyj na pana.
— A mini lude kazały, kazały,
Szczos do roboty nezdała,
Szczu lubysz dolho se spaty,
Ne chceszz świtom wstawaty.
Ne słuchaj ludy Iwane Iwane,
Wone tak breszut' na mene ;
Ja chutnij od wsich se wstanu,
Jak twiju žinku ostanu.

Pośrednie między wesołemi a tęsknemi piosnkami są znów następujące :

Oj! ty diwczyno zaruczenaja,
Czomu ty chodysz zasmuczenaja?
Czomu ty płaczesz, czomu ty nudysz,
Czomu ne skażesz, koho ty lubysz?
Oj! znaju, znaju, koho kochaju,
Tolko ne znaju, z kim żyty maju.
Koho kochaju, to za płeczyma,
Z kim żyty maju, to pred oczyma.
Oj! ty diwczyno zaruczenaja,
Czomu ty chodysz zasmuczenaja?
Jakże ne maju smutnaja buty,
Kohom kochała, trudno zabuty,
Kohom kochała, kohom lubyła,
Toho pokryła czorna mobyła.
Oj! ty diwczyno czarownyceuńko,
Oczarowałaś moje łyचेuńko,
Oczarowałaś serce i duszu,
Teper ja tebe kochaty muszu.
Bodaj ty ne znał steżkie do chaty,
Jak ja ne znaju jak czarowaty,
U mene czary zawszy hotowy,
Biloje łyczko, czornyje browy.

Reszta piosnek, które poniżej podaje, są to wszystkie smutne dumki — przeciągle śpiewane — i z takich przeważnie składa się cała poezya rusińska. Choć melodye te są bardzo jednostajne, nutą wielce do siebie zbliżone, to jednak tyle mieszczą w sobie jakiejś bezbrzeżnej tęsknoty — tyle rzewności i smutku, że za serce chwytają i mają urok niezwykły.

Płynęły husońki bystruju wodoju,
Wyjde, wyjde diwczynońko, rozmow se ze mnoju.
Wyjde, wyjde diwczynońko, jakės wychodyła,
Skaży, skaży wsiu prawdońku, jakės howoryła.

— Ne raz bo ja ne dwa z toboju stojała,
Nyhdy ja ti nyhdy prawdy ne skazała.
Wtocza ja ti wtocza wsiu prawdońku skažu,
O! jak miju biłu ruczku i z twojeju zwiazu.
Pidem do cyrkowci, stanem na koberci,
Pidut' tyi myśli po naszomu serci.
Myśli moi, myśli, na szczoż wyšte wyszli,
Szczoz pod kozaczońkom sywyj konyk bystryj.
Sywyj konyk bystryj z zołotoju zbroju...
— Hejże diwczynońko szczo dumasz ze mnoju?
— Dumaju, dumaju w toj Dunaj plynuty,
Nyż w tebe wraży synu ze myłuju buty.
Dunaj pereplynu, siedu, odpoczynu,
A za tebe pidu, to na wiki zhynu.

Czyś ty mene moja mamu idnuju mała?
Dalaś mene za toj za miż newirnyj ludynie.
A jakże ja mołodaja bydy ne znała,
Piszłam sobi do koreczmońki, ciłkom nycz pyła.
Ja (a) perszyi kury pijut', ja do koreczmy iidu,
Ja druhyi kury pijut', ja horyłku pju,
Ja tretii kury pijut', to ja tańciuju,
Czetwertyi kury pijut', ja do domu iidu.
Czetwertyi kury pijut', ja do domu iidu,
Zdybałam sia z diwirońkom w wysznwym sadu.
— A tyż moja bratowaja, deżeś ty buła?
— A bułam ja o w koreczmońci, horyłkum pyła.
Ach! ty moja bratowaja, budesz bytaja,
Wysyt', wysyt' nahajońka, drutom szytaja.
— A mij myłyj diwirońku, borony mene,
Wyszøju ti szalkom chustku wmysne dla tebe.
— A ja moja bratowaja, jak maju ne daty,
Tebe bude twij muž byty, to ja pidu z chaty.
A mij myłyj za horodom konyki pase,
A podnis win hołowońku, wysłuchał win wse.
— A ja tuju szalkom chustku, to ja sam woźmu,
A ja twoje bile tiło na paper spyszu...
Chorasz to ja, chorasz to ja, ponoś ja wumru,
Poslijtesz mi po kapłana, nech rozporedžu
Kapłanewi sztyry woly, a djakewi dwa.
Szczob win czytał superońku z weczera do dnia.
A ja moim susidońkom korec pszanyci,
Coby mene wspomynaly na pijatyci.
A ja tomu szynkarewi rabuju swyniu,
Czerez johu horyłońku ja ze świta idu.

„Idu“ w potocznej mowie wymawiają tak jak się pisze, jako wyraz dwuzgłoskowy — śpiewając zaś, zlewają „i“ z „du“ w jedną zgłoskę: „jdu“.

Każat lude, szczom szczasływa,
Ja z toho śmiju sia,
Ne raz bo ja ne dwa,
Śłozami myju sia.
Nyma komu zapytaty,
Czoho oczy płacut',
Ni do pola, ni do chaty,
Sercia ne prywiazut'.
Chodźu, nudźu, chodźu, nudźu,
Jak mała detyna,
Jak ne baczu, kohoj lublu,
To rokom hodyna.
Chodźu, nudźu, chodźu, nudźu,
Jak słonienko w krózi,
Jak ne baczu, kohoj lublu,
To serdeńko w tuzi.

Dawnom, dawnom w swoho rodu buła,
Wże taja dorożeńka ternom zarosła,
Ternom zarosła, lystom prypała,
Czerwonuju kałynonku ponawyszala
Jak ja schozczu tereń wysiczu,
Takiż bo ja do swojoho rodu w hostynu zajdu.
Tereń wysiczu, lysti zhromadźu,
Takiż bo ja do swojoho rodu w hostynu zajdu.
Zysti zhromadźu, riezku zahaczu,
Czerwonuju kałynonku w wizoczku zwiazu,
Takiż bo ja do swojoho rodu w hostynu zajdu.
Oj! huk mamu, huk, kuda chłopei idut',
Wesołaja taja dorożeńka, hde one idut'.
Idut', idut', a wsio bez hroszy,
Uważ moja mamuńdziuniu, kotryj horoszy.
Bo moja uroda, jak bystraja woda,
Moje łyczeńko rumineńkoje jak ćwit — jahoda.
Dbaj mamu dbaj, mene za miż daj,
A ne daj mene za hulaszczoho,
A ne daj meue za pijaszczoho,
Bo mi bude źel.
Mama whadała i ne whadała,
Dała mene za ladaszczoho,
Teper mene źel.

Pieśń nad kolebka, śpiewana również w czasie chrzcin.

Oj! lu, lu, lu, lu, lu, lu, lu,
Jednuju doczku matinka mała,
Dałeczeńko ii dała,
I zakazała, zapowedała, ne buwaj doniu w mene.
Terplu ja roczok, terplu wże druhyj, a wże sia tretij toczy,
Oj! mamuńdziuniu, oj! ridneńkaja, wże wyplakałam oczy.

Perekinu sia w sywuju zazulu, do matinki połączu,
Perekinu sia w sywuju zazulu, do matinki połączu,
Siedu ja sobi pod okienońkom na suchojij łąszczynie,
Budu kowała, ziel zadawała swoii własny rodynie.
Wyszła matinka, wyszła ridneńka z konowoczku po wodu,
A sio, a puha, sywaja zuzula, ne łomaj mini zioleńka.
Budu łomała, budu suszyła,
Bom ho tu nasadyła.
Ne tyś sadyła, ano donia moja,
Ta szczo w dałekij storonie.
Wyszedeł bateńko, wyszedeł ridneńkij z konowoczku po wodu,
A sio, a puha, sywaja zuzula, ne łomaj mini zioleńka.
Budu kowała, budu sidala na suchuju łąszczynu,
A mij bateńku, a mij ridneńkij, woź mene na hostynu.
Hdesz sia podiło, hdesz sia podiło, toje bileńkoje tiło?
A mij bateńku, a mij ridneńkij, od kija obletiło.
Hdesz sia podiły, hdesz sia podiły tyi bileńkii nohy?
Tak u swekruchy, tak u swekruchy poobyjały prohy.
Hdesz sia podiły, hdesz sia podiły tyi bileńkii ruki?
Wyrobyły sia, wyrobyły sia u swekruchy na muki.
Hdesz sia podiły, hdesz sia podiły tyi sywyi oczy?
Wyplakaly sia, wyplakaly sia taj u swekruchy w noczy.

Melodya tej pieśni jest niezmiernie smutna — przeciągle się śpiewa — przyczem stosownie do słów zmienia się tak, że właściwie chcąc ją podać zupełnie wiernie, trzeba by muzykę podłożyć pod całkowity tekst, a i to jeszcze wątpię, czyby wyszło tak, jak z ust tutejszych śpiewaczek.

A pidu ja ponad Buhom,
Tam mij myłyj ore pluhom,
Ponesu ja jomu isty,
Czy ne skaże mini sisty.
Ponesu ja jomu pyty,
Czy ne schocze howoryty.
I naiwsia i napywsia,
Kole pluha położywsia.
— Czoho leżysz, czem ne horesz,
Czem ze mnoju ne howorysz?
— O ja leżu i dumaju,
Szczu pobanu żinku maju.
— Pohanam sia rodyłam sia,
Horoszemu sudyłam sia.

Zaświczmy maty świczku, nech jasneńko horyt',
Nech ja baczu, z kim ja sedżu, bo mne sercie bołyt'.

Weselne pieśni niektóre są prześliczne — a melodya ich przeważnie, jak zwykle, smutna i mało urozmaicona. Dawno, dawno, jakieś dziesięć, a może i więcej lat temu, słyszałam pieśń, w której śpiewano coś o Kupale, teraz jednak nawet na ślad tej pieśni trafić nie mogłam. Nie dowodzi to jednakże, aby pieśń ta zaginęła, tylko podczas wesel jest tu taka masa przeróżnych pieśni, że prawie każda jednostka śpiewa inne warianty, a reszta za nią wtóruje w danej chwili; — na razie zatem może być trudno przypomnieć sobie — i ztąd nikt mi nie umiał pieśni o Kupale zaśpiewać. Natomiast „oj Łado, Łado“, powtarza się w pieśniach weselnych bardzo często. Również często powtarza się charakterystyczne „z terema do terema“. Nieraz też wypytywałam się, co to ma znaczyć, co oni rozumieją przez to wyrażenie? Wszyscy zawsze odpowiadali: „a bo znamo, wsi tak spywajut’, to i my tak“. Teraz mieszkając w powiecie janowskim, między Bychawą a Kraśnikiem — kiedyś słyszę, jak baba woła: o będzies mi łązić „z terema do terema“ — a było to powiedziane w sensie — to tu, to tu — tylko naturalnie po rusińsku akcent leży na „ma“, a w mazurskiej wymowie na „re“.

Całkowitych pieśni, dłuższych, prześpiewywanych przy poszczególnych momentach wesela, jest bardzo niewiele, przeważnie krótkie zwrotki w rodzaju następujących:

Przy pieczeniu korowaja:

Czerwonoe raeze,
Po prypeczku skaeze,
A w picz zahledaje,
Czy sia korowaj dopiekaje.

Jak korowaj upieczony, niosą do starościny już ubrany:

Znaty Kasiuniu znaty,
Szczo rodynońku maje,
Korowaj darowany,
Horoszeńko prybyrany,
To w leliju, to w szelwiju,
To w zelenoju rutu.

Przy krajaniu korowaja:

Z terema do terema korowaj kraje,
Rodu ne omynajte,
Bo w Kasieńki rodu mnoho,
Żeby obdelity wsioho — (częśćiej: kaźdoho),
Z terema do terema nasz družbońko korowaj kraje,
Zołotyj nożik maje,

Srebrnuju torebońku,
I wyszytuju chustońku.
Z terema do terema, buw korowaj jak wiko,
A hde joho podito,
To w żminie, to w kiszynie,
A družoczkam na wieczere.

Podiekuj Kasieńku swojomu bateńkowi za toj welykij dar,
Za toj pszanycznyj korowaj.
— Ny ma za szczo diekowaty tylo mojoho daru,
Pszanycznoho korowaju,
Tylo moi wysłużbońki
Od ridnoho bateńki.

Gdy pannę młodą ubraną do ślubu wyprowadzą z komory
do izby, śpiewają :

Szła Kasieńka na posażońku,
Jak dwa rożowych ćwity,
Ne możet' sia na neju nahladity.
Och! teper żeś mi myła,
A żeś moju switłońku swoim łyceńkom oswetyła.
Chodyt' pawońka, rabe piórońka,
Po zelenyj dumbrowie,
Rozpustyla piórońka po sobie.
Oj ne żel mini pircia,
Szczom joho rozpustyla,
Jeno żel mini dumbrowy,
Szczom jei pobrudyła.
Chodyt' Kasieńka po noweńkij komore,
Rozpustyla rusuju kosu horoszeńku po sobie;
Oj ne żel mini rusuju kosu, szczom i ja rozpustyla,
Ino żel mi bateńka, szczom joho zasmutyla.
Oj na seło Kasiuniu, na seło,
Bude twojomu bateńku weselo,
Oj na seło Kasieńko, na seło,
Bude twoii matinońci weselo.

Kiedy pan młody przyjedzie w niedzielę przed dom panny
młodej.

Z terema do terema najechały gości
Z czudzyj majątności,
Konec stołu posidały,
Kasieńku namowlały.
Ne stuj zietiu za dweryma,
Ne ćweti hoczyna,
U nas diwka dorohaja,
U nej kosa zołotaja.

Z terema do terema oj! ty zietiu dohadaj sia,
Do kiszeni siehajsia.
Maty na peczi, a nohy na pleczy,
Czerwonych czubit chce.

Przed wyjazdem do ślubu :

Kłaniaj sia Kasiuniu, kłaniaj sia młodaja
Nyško, pokorneńko, szczob buło horoszeńko,
Wojcu i pani matce, wojcu i pani matce,
Wojcu i pani matce i wsij swoi rodynońce,
Staromu i młodomu, staromu i młodomu,
Staromu i młodomu i każdomu szczo w tym domu.
Každyj tobi zmowit', każdyj tobi zmowit',
Každyj tobi zmowit', nech tobi Boh błohosławit'.

Jadąc do ślubu :

Z terema do terema, nyma ksiondza w doma,
Poichaw do Lwowa,
Kluczyków kupowaty,
Cerkowciu odmykaty,
Młodym ślubu dawaty.

Po ślubie :

Z terema do terema, podiekuj ksiondzuńkowi,
Jak ridnomu bateńkowi,
Szczu nas zwiazał,
Ne welyczko wziął,
Ino sztyry zoloty.
Posłała Kasiunia pered jezdońku
Do swojoho bateńka,
Nech sia spodobaje luboho z chustońku
Swojoho ziateńka,
Nechaj zastielaje stole tisowyje,
Nechaj nakładaje chliby pszanyczynje,
Nechaj nastawlaje kubki zolotyje.

Gdy wracając od ślubu, zastają drzwi od chaty zamknięte :

Z terema do terema, wyjde maty z chaty,
Wyjde maty z chaty, swoich ditok wytaty.
Z pownymi z pownuńkami,
Z byłymi ruczeńkami.
Z terema do terema, czy wy nas ne lubyte,
Czy wy nas ne lubyte, szczo do nas ne wychodyte.
Z pownymi z pownuńkami,
Z byłymi ruczeńkami ?

Po zamknięciu młodej pary w komorze:

Prysnął mini sia bateńko w rewnyj son,
Hej Łado, Łado! w rewnyj son.
A że sedił na nebie z mesicom,
Hej Łado, Łado! z mesicom.
Zorońka mu jasnaja swetyła,
Hej Łado, Łado! swetyła.
Dajże mini Boże toho towarzysza, kotroho by ja lubyła,
Oj Łado, Łado! lubyła.

Gdy panna młoda ma już jechać do męża:

✓ Oj wsiadaj, wsiadaj moje kochanie,
Już ci nie pomoże twoje płkanie;
Ani nada, ni pomoże,
Stojo konie, stojo w wozie
Pozakładane.
Jeszcze ja nie bede z wami wsiadała,
Jeszczem swemu ojcu nie dzieńkowała.
Dziękuję ci a mój wojsze,
Chował ty mnie wprzódy w złocie,
Teraz nie bedziesz.
Wsiadaj i t. d.
Jeszcze ja nie bede z wami wsiadała,
Jeszczem swoi matce nie dzieńkowała.
Dziękuję ci moja matko,
Chowałaś mie bardzo gładko,
Teraz nie bedziesz.
Wsiadaj i t. d.
Jeszcze ja nie bede z wami wsiadała,
Jeszczem swoim braciom nie dzieńkowała.
Dziękuję ci miły bracie,
Była ja ci na zawadzie,
Teraz nie bede.
Wsiadaj i t. d.
Jeszcze i t. d.
Dziękuję ci moja siostru,
Byłaś na mnie bardzo hostra,
Teraz nie bedziesz.
Wsiadaj i t. d.
Jeszcze i t. d.
Dziękuję ci moja rodzino,
Chowałaś mie bardzo uczciwo,
Teraz nie bedziesz.

Pieśń powyższa coraz rzadziej bywa śpiewana, a w Gródku już może zupełnie zaginęła — dostałam ją z drugiej wsi z Zadbic.

Śpiew starościny, gdy ma odwozić pannę młodą do domu męża.

Oj! wyjde, wyjde mołodaja swaneczko,
Pohleń na nebo, czy wysoko soneczko?
O jak wysoko, szcze sia poweselimo.
A jak nyżeńko, to do domu sia kwapymo.
Oj, oj nyżeńko, soneczko u chmary,
Oj wsiadaj że ty Kasiuniu z nami.
Oj rada by ja z wami uwsiadaty,
A ne chocze mi bateńko wseho posahu daty.
Szczo maju, to tobi daju,
Tolko tobi doleńki ne whadaju.
Kowała zuzula, kowała syweńkaja,
Do sadu pripadała, do sadu wyszniawoho,
Płakała Kasiunia, do stoła pripadała,
Do stoła cisawoho.
Oj stoleć, mij stoleć, tyś moja rozłuczeńka,
Ty mene rozłuczajesz od mojoho bateńka.

„Na zrukowiny“, czyli na zaręczyny mają też swoje pieśni odpowiednie, nie tyle jednak co na wesela, a to głównie z przyczyny, że biedniejsi hucznych zaręczyn nie wyprawiają.

Oto dwie próbki:

Wyjde Iwaniu mołodzeńki i z nowieńki komory,
Pohleń po nebe, czy wsi jasny zori?
Wsi jasny, ridnyj bateńku,
Tyło idna temneńkaja w tyj storonońce, hde moja miłeńka.
Jak budesz ichaw mołodyj Iwaniu diwońki namowlaty,
Hleń na jałenu i na czerwonu kałenu.
Taja kałena z rózoju prekwitaje,
Tam se tebe testeńko spodywaje.
Pryjd', pryjd' ziатеńku w hostynońku,
Daju ja tobi swoju detynońku.
Ne pyjże teper perszyho perepojku,
No tyło wylej koniewi na hrywońku,
Szczoby se koniewi hrywońka swetyła,
To tobi bude twoja Kasiunia myła.

Jak swaty z panem młodym przyjdą na zaręczyny.

W Kasiuni na zmowinońki
Med i wyno spowniajut',
A Kasiuniu mołodzeńkuju dorożeczki odmawlajut'.
My starszyje u naszoho bateńka,
Szczе budem sedyty,
A ty młoda jak jahoda,
Wże budesz kniazity.

Z napretiwka chaty steżka ide w sad,
Sije Kasiunia wynohrad.
Jak naleczut' rajskaa ptaszki, stały wynohrad pyty.
Tam Kasiunia hodyła,
Rajskaa ptaszki zhanieła.
A sio, a sio! rajskaa ptaszki, ne pyjte wynohradu;
O, baczyt' Hospod Bih z neba,
Szczu mini medu i wyna treba,
Na perszyj dań na sobotońku,
Swekorca czenstowaty w hostynońku.

W Zadubcach, wiosce oddalonej o dwie mile od Gródka w stronę Chełma, podano mi dłuższą pieśń polską, a śpiewaną na nutę zupełnie odrębną niż wszystkie melodye tutejsze. Uderzyło mię to wielce, gdyż Zadubec jestto wieś rdzennie rusińska, nawet dworu tam nie ma, z którego od sług możnaby wnioskować, że się pieśń owa przedostała na wieś; — czyżby więc nie była jakim dawnym zabytkiem?

P I E Ś Ń.

Ej! ty ptaszku krężylaszku,
Wysoko latasz,
Powiedz ty mnie szczere prawde,
Gdzie sie obracasz?
Powiem ci ja szczere prawde,
Smutne, nie wesołe,
Że już twoje najmilejsze
Do ślubu strojo
Niechaj strojo, niech prowadzo,
Bóg im szczęście da,
Który sie ii nie zalicał,
Ten jo beńdzie miał.
Przyjechał ja na podwórze,
Ja jo nie widze,
Zapytałby sie słuźońcy,
Ale sie wstydze.
Idzie wona do kościoła,
Drobniuszko stapa,
A ja za nio na koniku,
Serce mi penka.
Przyszła wona do kościoła,
Już i ślub bierze,
A ja za nio po dragusach
Jeszcze nie wierze.
Wyszła wona z kościołańka,
Już i ślub wzieła,
A ja młody młodziusieńki
Stanął jak ziemia.

Idzie wona z kościoła
Gdyby lelija,
A ja za nio na koniku
Szabło wywija.
— Wyjdźcie, wyjdźcie pacholiki
Za zielonyj dwór,
Stańcie, stańcie, wyglądjacie,
Czy nie jedzie wun.
— Jedzie, jedzie, pani matko,
W ten zielonyj dwór,
Wyśpiewuje, wyświstuje,
Pod nim wronyj kuń.
— Otwórzcie mu pacholiki
Te nowe wrota,
Żeby jego wronyj konik,
Nie deptał błota.
Zaścielecie mu pacholiki
Dywan zielonyj,
Żeby mu był na tym stole
Kapłan pieczony (powinno być: kapłon).
Pytajcie sie pacholiki,
Czy on ma nóż swój,
Jak wun nima noża swego,
To mu dajecie mój.
— Czem ty nie isz, czem nie pijesz
Kochaneńku mój?
— Żeby ja jad, żeby ja pił,
To ni bede twój.
Sięde ja se na konika,
Pojade za nio,
Bede ja sie przypatrywał,
Czy ładna panio.
Siedzi wona za stolikiem
Mindzy panami,
Tak jak miesionc najjaśniejszy
Między gwiazdami.
I nalała szklanki wina,
Pije do niego..
— Wychodź, wychodź Jasiu serce,
Z kochania mego..
— Czy pamientasz śliczna Kasiu,
Jakeś była panno,
Otwieralaś okieneczko,
I patrzałaś za mno.
Teraz okna nie otworzysz,
Zblad na liczku kwiat,
A ja siadam na konika,
I pojade w świat.

Przysłowia.

- Czem dałyj w haj, to wienc drow prynešem.
- Od światoho Spasa, tra rukawic do pasa.
- Do światoj Pokrowy, to diwkie hotowy.
- Du światoho Gmytra, to diwońka chytra.
- Chto iść chlib, to druhocho bere za czib.
- Raz maty rodyła i idna mohyła.
- Nad serotoju Bih z kałetoju.
- Szczo insza wieś, to insza piśnia.
- Czudżu bydu to i rukami rozweđu, a na swuju to i rozumu ne maju.
- Jak ne buło szczo waryty, nauczyła sia wrużyty.
- Jak dwery w dołu tycho chodiat', to w hory skrypiat'.
- Ni z juszki, ni z pietruszki.
- Szczo źentoje to wziatoje, szczo koszone to proszone.
- Jak braty to hotowy, a oddaty to ne maje hłowy.

Wyrazy czysto rusińskie, tj. takie które nie są wzięte ani z polskiego ani z rosyjskiego języka i miejscowe wyrażenia.

Ciótka, czyli febra.

Czóboty, buty.

Czerewác, obelżywa nazwa.

Died'ko, wuj.

Diedyná lub giedyna, wujenka; przytem ogólnie starszym ludziom, młodzi mówią zawsze: died'ku, diedyno.

Horodnýk, rydel, w którym rączka i łopatka są wyrobione z jednego kawałka drzewa i okute na ostro żelazem. Dawniej tylko takimi kopano ogrody, dziś kupują łopatki żelazne i osadzają rączkę w domu, a horodnýk służy jedynie do oklepywania grządek.

Hamuła, zupa z ulęgałek suszonych.

Lulka, fajka.

Ta choma, chom.

Habuzie, łomaki, rosochate gałęzie suche.

Kaciety, magłować; pokaciej, zmagłuj.

Kur, odra, choroba dziecinna.

Klujduba, dzieciół.

Kartohla, kartofel.

Kniehini, kniaź, narzeczeni od czasu zaręczyn do ślubu.

Koromesła, nosze do noszenia konewek. Jestto prosty kawałek lipowego drzewa, obrobiony starannie, w środku płaski, na końcach okrągły; do tych końców przyczepione są mocnymi sznurkami drewniane kluczki, t. j. mocno zakrzywione naturalne haczyki. Tymi zaczepia się o uszy od konewek, lipowy poprzeczniak płaskim środkiem zakłada się na kark i tak się niesie konewki z wodą, przytrzymując je z lekka rękami, żeby się nie kręciły.

Makitra, donica, w której wiercą mak, sér.

Motúz, motuzók, powróz

Newístka, synowa.

Piweń, kogut.

Połudień, obiad; południowáty, sieść do obiadu; tak samo mówią: śnidaty, wczeryaty.

Połatki, tapczan do spania.

Pecza, piec.

Poperék, krzyż w człowieku, czy w zwierzęciu, krzyż zaś drewniany zowią: figura.

Prysocha, słupek w rogach stodoły. Stodoły tutejsze chruściane budują w ten sposób. Cztery prisochy, na każdym rogu jedna; w dwóch szczytowych ścianach, pośrodku po jednym słupie, w ścianach zaś, w tylnej: słupów odpowiednio do długości 2—3, we frontowej zaś, pośrodku wrota, założone w mocne uszaki, a na te słupy naokoło zakłada się płatew i na nich spiera się dach jak zwykle. Ściany zaś między słupami stanowi płót, opodal osobno pleciony z leszczyny, następnie przystawia się go do słupów, a przymocowuje się do nich drewnianymi „knagami“, rodzajem zakrętek stale zamocowanych i od ziemi cokolwiek się je zakopuje, aby lepiej stały. Żeby zaś przez płót, czyli przez taką plecioną ścianę, śnieg nie nadymał w zboże, wiąże się pęczki trzciny, która jest tej wysokości co ściana — i listwą drewnianą jeden pęczek obok drugiego przymocowuje się naokoło budynku, co zupełnie wystarczająco odpowiada swemu zadaniu. Stodoły takie są bardzo trwałe, stoją długie lata i w zupełności zastępują tarcicowe.

Rubel, drążek do przyciskania siana na furze.

Podárok, chustka na głowę od „młodego“ dla „młodej“.

Posag, płótno, które panna młoda dostaje idąc za mąż.

Paranina, ugor.

Płat, kawałek płótna lnianego, mniej więcej dwa łokcie, który przewieszają u pasa: swat, starosta i družbowie w czasie wesela.

Szmatie, bielizna.
Soróczka, koszula.
Smażénycia, kawałki mięsa i słoniny razem ugotowane,
potrawa weselna.
Szczera, uczynna.
Szulák, jastrząb.
Statki, naczynia kuchenne i domowe.
Tykłó, stożer, stogażysko.
Werteń, wertuch, wałek drewniany do kręcenia maku
w donicy.
Zori, gwiazdy.
Zapluszczyć oczy, zamknąć oczy.
Diwir, brat męża.
Dúszka, sukienka dla małych dzieci — spodniczka razem
ze stanikiem, z tyłu zapinana.

Niektóre wyrażenia dzieciinne.

Koki, kartofle.
Ciucia, pies.
Papu, chleb.
Hamu, jeść.
Ciuciu, cukier.
Pr-pru, woda, pić.
Lulu, spać.
Tiutia, kura.
Dia dia, dziadek i biedny żebrak.
Baba, obca starsza kobieta.
Lala, obca osoba ładniej ubrana.
Kicia, kot.
Baś-baś, owce.

Nazwy dawane zwierzętom.

Konie robecze zowią „kuni“, zaś źrebięta „łosie“ w liczbie pojedynczej, „łoszéta“ w liczbie mnogiej. Wołają na konie z daleka: ścieś, ścieś, ścieś! kierując na prawo „het'ta“, na lewo „wišta“, zachęcając do biegu „wio! wiu!“.

Krowy nazywają: krasula, szadocha, szmatałacha, rabája, rabula, kalina, żukola, kwietocha, łysaja, boczula, malowanka, a wołając do siebie „na, na, na żukola, na, na, na!“

Psy: bukiet, kruczek, burek, kusy, rabuś, rabyj, łysek i t. p. Na małe szczenięta, odpędzając, wołają: „a do kuczy, do kuczy!“

szczując psami „huzia, huzia — a huź, huź!“ Wołając ku sobie: tu, tu, tu, tu!

Nazwiska dawno tu osiadłych gospodarzy.

Sawka Czerniak, Horyszko, Wasyl Sterniczuk, Hilko Sydork, Maksym Romaniuk, Stepan Matwieczuk przezwany Lipka, Wasyl Lulka, Stepan Sonsiadka, a żonę jego zowią Susiadczycha, Hilko Podhorodyński, Mikołaj Dech, Iwan Flak, Semen Franczuk, Mikołaj Panasiuk, Hryć Sobko.

Imiona mężkie najpospolitsze są: Hryć, Iwan i Mikołaj, Żeńskie zaś: Kaśka, Hańdzia i Maryna — trafiają się też bardzo niezwykle, jak: Darka, Hapka, Pałaszka.

Wioski okoliczne nazwami swemi zaznaczają różnicę w dawnym położeniu społecznem Gródka. Oto niektóre z nich po tej i drugiej stronie Buga: Kosmów, Czumów, Teptików, Strzyżów, Ciucniów, Ambuków. Nawet dzisiejsze miasteczka mają zakończenie na „ów“: Hrubieszów, Kryłów. Gródek tak się nazwą swą ośszczególnia, że prawie można na pewno wierzyć opowiadaniom ludu o owym grodzie wielkim na „Bocianowej górze“, gdzie wielkie pany mieszkały i o „horodysku obronnem“, u którego stóp kości ludzkie po dziś dzień wykopują.



ANTYSEMITYZM

w powiastkach i farsach ludowych.

(Materiały do dyalektologii polskiej, zebrane we wsi Śmiglinie koło Tarnowa).

Cichy, domorosły antysemityzm, z nienawiści rasowej w krwi już płynący, tradycją przekazywany z pokolenia pokoleniu, nurtuje dziś, bardziej niż kiedyindziej, podsycany stosunkami ekonomicznymi, wśród szerokich warstw naszego ludu wiejskiego. Zamiast dawnego hasła, spadku po r. 1846., które dzięki promykom światła wiedzy i cywilizacyi, zaciera się i na łagodniejsze schodzi tory, wystąpiło nowe, na szerokim świecie od niedawnego czasu, tylko w łagodniejszej nieco formie popularne: „bić żyda!“

Na podstawie długoletniej obserwacyi dochodę do przekonania, że tak jest w istocie, choć na pozór panuje tu i ówdzie między chatą a karczmą nawet pewna zażyłość, a wogóle harmonijna zgoda.

Najlepszym dowodem — pomijając milczeniem drastyczne z życia epizody — literatura tego ludu, zwłaszcza prozaiczna,